Barbara Krafftówna, aktorka: – Być może moja osobowość sprawiła, że Jeremi Przybora powierzał mi w Kabarecie Starszych Panów pełnokrwiste role

W sercu ciągle maj

FOT. KRZYSZTOF SZYMCZAK

■ MONIKA PIETRAS: **Pani pobyt w Łodzi związany był nie tylko ze spotkaniem w Poleskim Ośrodku Sztuki poświęconym Kabaretowi Starszych Panów, ale i pracą przy filmie. Co to za rola?**

BARBARA KRAFFTÓWNA: – Właśnie skończyłam grać w filmie dyplomowym realizowanym w szkole filmowej przez Annę Rembowską. Bardzo się cieszę, że miałam okazję zetknąć się z młodzieżą reprezentującą bardzo wysoki poziom zawodowy. Serdecznie życzę jej oraz całej ekipie dalszych sukcesów i powodzenia. Miałam też spotkanie w szkole ze studentami, rektorem i profesorami. To było wielkie, wzruszające przeżycie.

■ **O czym jest ten film?**

– O naszej współczesnej egzystencji, codziennych problemach, przy czym film jest transpozycją, nie rejestracją życia. Scenariusz jest niesłychanie czystą, pozbawioną łopatologii propozycją literacką i świetnym materiałem do gry. To się dziś bardzo rzadko zdarza.

■ **Zagrała pani w sztandarowych dziełach Wojciecha Jerzego Hasa. Jak wspomina pani tamtą współpracę?**

– Jako bazę współczesnej sztuki. Jego filmy to dokument naszej kultury, które stanowią niewyczerpane źródło propozycji i inspiracji do następnych poczynań, bez względu na to jak wielkie zmiany zaszły w naszej kinematografii i technice filmowej. W filmach Hasa najważniejsza była myśl, której nasze współczesne produkcje niestety są często pozbawione.

■ **W 1963 roku dostała pani Złote Wrota w San Francisco za rolę w filmie Hasa „Jak być kochaną". Czy otrzymując nagrodę pomyślała pani wtedy, że dobrze by było zamieszkać za oceanem?**

– W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Film dostał trzy na cztery możliwe nagrody: za scenariusz – Kazimierz Brandys, za reżyserię – Wojciech Jerzy Has i za rolę kobiecą – ja. Nikt nie spodziewał się takiego sukcesu, więc na festiwal wysłano wyłącznie taśmę z filmem. Nie pojechał nawet żaden urzędnik, więc nie miał kto nagród odebrać. Kiedy okazało się, że odnieśliśmy sukces, było już za późno. Dopiero po 21 latach, kiedy znalazłam się w 1984 roku w San Francisco, tamtejsza Polonia skorzystała z mojej obecności i zorganizowała pokaz. Impreza natychmiast odbiła się szerokim echem w kręgach filmowych.

■ **Nie każda aktorka decyduje się porzucić karierę i za głosem serca pojechać za ocean. Pani się odważyła.**

– To niezupełnie było tak. Najpierw dostałam propozycję zagrania tytułowej roli w „Matce" Witkacego. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyłam (recenzenci pisali o mnie jako o modelowej aktorce witkacowskiej), ale kiedy okazało się, że mam grać po angielsku na amerykańskiej scenie z amerykańskimi kolegami, pomyślałam, że zaszła jakaś pomyłka. Jednak okazało się, że Amerykanie są przygotowani na wszystko. Podjęłam się wyzwania, rolę przygotowałam fonetycznie. Głos serca odezwał się trochę później, wyszłam za mąż i zdecydowałam się pozostać w Stanach Zjednoczonych.

■ **W Ameryce podjęła pani pierwsze próby reżyserskie.**

– Wyreżyserowałam „Kram z piosenkami" Schillera. To był bardzo prężny polonijny zespół teatralny. Zadanie było bardzo trudne, ponieważ zaledwie kilka osób było zawodowcami, a reszta miała tylko jakieś kontakty z estradą. To było wzruszające doświadczenie. My sobie nie zdajemy sprawy, jak wiele zawdzięczamy Polonii na całym świecie, ile wartości narodowych przekazują swoim dzieciom i rodakom.

■ **Po kilkunastu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych przyszły propozycje z kraju. Ciężko było podjąć decyzję o powrocie na rodzimy rynek?**

– Zgodziłam się natychmiast. Ja w ogóle bardzo rzadko się zastanawiam, może dlatego, że zazwyczaj mam dobre propozycje. Dobre na miarę czasu.

■ **Ma pani na myśli role w serialach „Bank nie z tej ziemi" i „Król przedmieścia"? Czy praca w telewizji, nierzadko wśród amatorów, jest spełnieniem marzeń tak wybitnej aktorki?**

– Telewizyjne seriale to znak naszych czasów. Traktuję je jako deskę ratunku, ale rzeczywiście przyznaję, że ich strona techniczna pozostawia wiele do życzenia. Młoda generacja bełkocze. Mówię tak nie dlatego, że my się starzejemy i głuchniemy, ale że u młodych razi mnie brak warsztatu. Sama przeszłam wspaniałą szkołę zawodu u Iwo Galla, u którego studiowałam i grałam w teatrze. Gall przygotował nas wszechstronnie do pracy w teatrze, nie tylko aktorskiej. Uzmysłowił nam, ile elementów składa się na dobry spektakl. Uczono nas, jak obchodzić się z kurtyną, jak operować gongiem, światłami, jak w nich stać i jaka jest zależność między tkaniną, z której uszyty jest kostium a efektem scenicznym, a wszystko po to, aby umieć sobie poradzić na wypadek występu w jakichś nieprofesjonalnych okolicznościach.

■ **Jak wspomina pani swój udział w dziesięciu programach Kabaretu Starszych Panów?**

– Z takim samym rozrzewnieniem, jak widz, który teraz siada przed telewizorem i zachwyca się programem. Starsi wspominają młodość, a ich dzieci przypominają sobie, jak ich rodzice kupowali ciastka i wszyscy zasiadali przed telewizorem. Emisja kabaretu to było rodzinne święto. O tym, że kabaret ma wartość ponadczasową, zadecydował talent obu Starszych Panów i wspaniałe osobowości aktorów tam występujących.

■ **Jeremi Przybora wspomina panią jako osobę drapieżną i pełną seksu. Postacie, które dla pani stworzył – Rififi co lubiła draki, Imogena, Krwawa Basia – też były z krwi i kości.**

– Być może moja osobowość zainspirowała autorów. Na studiach i po szkole byłam uznawana za aktorkę charakterystyczno-komediową, po czym się okazało, że mając możność zagrać w dramacie, udźwignęłam i tę formę.

■ **W książce Romana Dziewońskiego o Kabarecie Starszych Panów wspomina pani, że bez uprzedniego wyśmiania się gra w ogóle nie wchodziła w rachubę.**

– To było niemożliwe. Tak jak serdecznie śmiejemy się, oglądając kabaret, tak my bawiliśmy się podczas przygotowań i w trakcie gry.

■ **Patrząc na pani wspaniałą formę, wnoszę, że „w sercu ciągle maj"?**

– Tak jest. I „wesołe jest życie staruszków". ●